

NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 36

Katowice, 11-go września

1932

Na niedzielę siedemnastą po Świątkach.

EWANGELJA

napisana u św. Mateusza w rozdz. 22, w. 34—46.

W on czas: Przystąpili do Jezusa faryzeusze, a jeden z nich, uczony w zakonie, chcąc Go wyba-
dać, zapytał Go: Mistrzu, które jest największe
przykazanie w zakonie? Jezus mu rzekł: „Będiesz
miłował Pana Boga twego z całego serca twego i z
całej duszy twojej i ze wszystkiej myśli twojej“.
(Dt. 5, 5). To jest największe i pierwsze przykaza-
nie. A wtóre, równe jemu: „Będiesz miłował bliź-
niego swego, jak siebie samego“ (Lew. 19, 18). Na
tych dwóch przykazaniach zasadza się cały zakon
i prorocy.

A gdy faryzeusze się zebrali, zapytał ich Jezus,
mówiąc: Co sądzicie o Chrystusie? Czyim jest syn-
nem? — Mówią Mu: Dawida. Rzecze im: Jakżeż
więc Dawid mocą Ducha nazywa Go Panem, mó-
wiąc (Ps. 109, 1):

„Rzekł Pan do Pana mego: Siądź po prawicy
mojej aż położę twych wrogów podnóżkiem stóp
twoich?“

Jeśli więc Dawid nazywa Go Panem, to jakże
może być synem jego? Lecz nikt nie mógł nic odpo-
wiedzieć; nikt też od owego dnia nie śmiał Go wię-
cej pytać.

NAUKA.

I.

Bóg żąda miłości wielkiej. To wyraźne jego
przykazanie, byśmy Go miłowali z całego serca.
Uczeni teologowie w tej wielkiej miłości trzy roz-
różniają stopnie. Oto pierwszy: Jeżeli Boga tak ko-
chamy, że wolimy raczej wszystko stracić i wszyst-
ko wycierpieć, aniżeli Go grzechem śmiertelnym
obrazić. Drugi stopień wyższy: jeżeli gotowi jeste-
my wszystko stracić lub wszystko wycierpieć, choć
by dlatego tylko, by powszednim nie obrazić Go
grzechem. Trzeci: Jeżeli gotowi jesteśmy wszystko
przecierpieć, byle tylko nie opuścić miłego Bogu u-
czynku. Ten trzeci jest stopniem najwyższym. Ale
już miłość na owym pierwszym stopniu może być
tak wielka, że wzbudzona w razie nagłej śmierci go-
dzi człowieka z Bogiem nawet bez spowiedzi...

Dlatego pielęgnujmy uczucie takiej miłości
względem Boga jak najtroskliwiej.

„Ciebie czczę, pragnę i ważę samego nad
wszystkie dobra!

Tyś Boże, u serca mego Najwyższe dobro!

Tyś u mnie w Największej cenie!

Tyś Sam Jeden nad Wszystko stworzenie...“

W każdym modlitwniku znajdziesz to cudzo-
śpiewne pełne poezji i pełne czaru miłości o owej
nigdy nieprzebranej i żadnym językiem niewypo-
wiedzianej Dobroci Bożej! Mów, czytaj, rozmyślaj
i wyśpiewuj to cudzo! Wyśpiewujcie zwłaszcza wy

mężczyźni, co śpiewali na procesji. Całą myślą,
Całą duszą i Całym sercem. Aby kiedyś w tragicz-
nej chwili życia to cudzo śpiewnie dostarczyło Wam
siły do pogodzenia się z Bogiem!

Mówi się, że łabędź raz tylko w życiu śpiewa i
że zanuciwszy swą pieśń umiera. Daj mi Boże, te
łaskę, bym mógł życie swe kończyć pieśnią o nie-
przebranej dobroci Twojej...

II.

Był w Rosji pewien szewc, który raz pewnego
dziwny miał sen. W widzeniu nocnym zapowiedział
mu się Zbawiciel, że nazajutrz odwiedzi go w domu.
Po przebudzeniu uprzątnął dom i od rana samego
począł śledzić wszystkich przechodniów. Usiadł
zupełnie blisko okna, by na czas wyjść z powitaniem
przed dom, gdy Jezus zbliżyć się będzie. Ale Jezus
jakoś nie przybywał. Tylko kobiecina nadeszła z
małą dzieciną, płacząc i pełna rozpacz. Nasz
rzemieślnik wprowadził ją do siebie i pocieszył jak
umiał. Potem zbliżył się robotnik zmarzły i zmę-
czony usuwaniem zawiei śnieżnych. I jego zaprosił
do pokoju, by się zagrzał i by odpoczął. W podob-
ny sposób ulżył niedoli jeszcze trzeciego i czwar-
tego przechodnia. Ale Jezus wciąż jeszcze nie nad-
chodził. Już było się ściemniało, a szewc jeszcze
wyglądał, aż ku północy. Nikt jednak już do domu
się nie zbliżał. Znużony i zawiedziony usiadł wresz-
cie przy lampce, by wedle zwyczaju przed spaniem
choć kilka wierszy przeczytać. Wzrok jego padł na
słowa: Coście uczynili jednemu z najmniejszych,
mnie żeście uczynili...

...Coś go tknęło! Chwileczkę się zastanowił —
podumał, i nagle aż ciepło zrobiło mu się w duszy
na myśl, że jednak to Pan Jezus sen nocy ostatniej
spełnił, odwiedzając go dnia tego nie jeden, lecz aż
cztery razy...

Pamiętaj człowiecze: „Cokolwiek uczynisz je-
dnemu z bliźnich, mnie, Chrystusowi to uczynisz...“

Biedny Franuś.

Uroczyście brzmiały dzwony wspaniale przy-
strojonego kościoła. Przez na oścież otwarte drzwi
wchodzi dość pokaźna garstka dzieci do pierwszej
Komuniji. Wszyscy byli jak najskromniej ubrani; w
dniu tym bowiem, przy tak świętym akcie nie po-
winno się uważać na bogactwa, lecz na pokorę
serca.

Rodzice i krewni dzieci, zgromadzili się w ko-
ściele, modląc się za swoich ulubieńców, i dziękując
Bogu za tak wielkie szczęście, jakie w tym dniu
miało ich dzieci spotkać.

Między dziećmi znajdował się także biedny
chłopak. Ten to miał prawdziwe powody do biedne-
go ubrania.

Ubranie jego było z lekkiego letniego płótna.

Licha marynarka, w którą był ubrany, odbyła już swą służbę w większej formie. Jak się zdaje prze-robiono ją z miedzianego ubrania ojca.

Mały, chorowity chłopak, nie zważał na to w tej tak uroczystej chwili. Całą myśl skupił około łaski, jakiej miał teraz dostąpić.

Franuś, takie miał imię biedny chłopak, nie zważał, że jedni spoglądali nań z litością, inni z lekceważeniem.

Co innego zajmowało umysł chłopaka. „O co będziecie prosić ojca w imię moje, da wam!” Były to słowa Zbawiciela, a słyszał je na nauce religii. O cóż więc miał się modlić?...

„Chłopak wnet umrze!” tak myślała sobie stara kobieta zanosząca się od płaczu, na widok swego ulubieńca. Była to babka Franusia, opiekująca się nim w ostatnich czasach. Staruszka powiedziała sobie pewnie: „Byłoby to największym szczęściem dla chłopaka, gdyby go Pan Bóg w dzisiejszej niewinności zabrał do siebie: bo cóż stanie się z dzieckiem, jeśli będzie dłużej na tej ziemi żyło?”

Ojciec chłopca był nałogowym pijakiem. Co zrobił w pocie czoła, to roztrwonil zaraz w szynku, pozostawiając żonę, matkę swą i syna w nędzy. Tak postępował ojciec chłopaka poraz pierwszy przystępującego do Stołu Pańskiego.

Z matką było jeszcze gorzej, przynajmniej tak świat się na to zapatrywał. Matka — ach, tego prawie wypowiedzieć nie można — otóż matka w zwątpieniu i położeniu bez wyjścia popełniła kradzież. Zamiast prosić o pomoc Boga, Matki Niebieskiej, św. Józefa, tego opiekuna opuszczonych, pozabawiona wszelkich środków żywności, pewnego dnia popróbowwała szczęścia.

Skorzystała z pierwszej nadarżającej się sposobności i ukradła pieniądze. Za to sporządziła obiad. Dosięgła ją jednak kara. Złapano ją na gorącym uczynku. Okradziony wydał ją, nie tak, wskutek kradzieży, jak raczej chcąc zemścić się na jej mężu, który obraził go po pijanemu. Nieszczęśliwą kobietę zasądzono na kilka miesięcy do więzienia.

Z tego powodu, z rozmaitemi uczuciami zapatrywano się biednemu Franusiowi.

Z tego, co się powiedziało, łatwo można poznać, o co się tak gorąco, w tym tak ważnym dla niego dniu, modlił Franuś. Błagał o poprawę matki, a modlił się z całą gorącością i zaufaniem młodego serca, które poraz pierwszy ma się połączyć z ukochanym Zbawicielem.

Po skończeniu nabożeństwa, gdy już dzieci w porządku wychodziły z kościoła, rozdawał proboszcz pamiątki tego tak pięknego dla nich dnia. Ręce Franusia tak drżały, że zaledwie mógł w nich książkę do nabożeństwa utrzymać.

— Tyś chory, kochany Franusiu — rzekł kapłan. — Jak tylko przyjdiesz do domu, połóż się natychmiast. Gdy będę miał czas, odwiedzę cię“.

Franuś dostał gwałtownej gorączki, dostawszy się zaledwo do domu, musiał się położyć do nędznego swego łóżka.

W kościele znajdował się jeszcze ktoś, po raz pierwszy od długiego czasu. I on zauważył, że Franuś jest najuboższym ze wszystkich, gdyż nawet ubodzy litowali się nad nim.

Tak nędznie odzianym, tak bladym i zgłodniałym wydawał się, a mimo to, tak żarliwie modlił się do Boga! Ciągłe patrzył na Franusia, zastanawiając się nad jego nędzą, podziwiając jego modlitwę.

A na kim ciążyła największa wina jego ubóstwa i hańba otaczająca chłopaka; na czyjem to su-

mieniu ciąży złe wglądanie? Za kimże to modlił się tak nabożnie i gorliwie chłopak?

— Ja tym jestem — rzekł do siebie widz, — ja zawiniłem, przyczyną tego wszystkiego moje pijaństwo! — Człowiek mówiący to, był ojcem Franusia.

Przedtem nie dał sobie powiedzieć, by jego pijaństwo było przyczyną ubóstwa i wstydu całej familji. Gdy mu matka i żona przedstawiali, gniewał się i stawiał się ostro. Do głębi wzruszony, powrócił mędzarz do domu. A teraz, było już po południu, a Franuś leżał na swej nędznej pościeli drżący i zmarznięty, ojciec siedzi koło niego i patrzy z troską na chłopaka.

Żadna jednak skarga nie wydobywa się z ust Franusia.

Szczęście błyszczy w jego oczach — szczęście i radość. Ojcu jednak napływają łzy do oczu.

— Ojczy, teraz będzie lepiej, ja wiem, to całym pewnie! — rzekł syn z pocieszeniem, odwracając myśl ojca na inny przedmiot.

— Tak jest, Franiu! będzie lepiej — odparł czło-wiek, w głosie jego czuć było zapewnienie obudzonej na powrót dobrej woli i chrześcijańskiej świadomości.

Po chwili przyszedł ksiądz odwiedzić chłopaka. Rozmawiał on długo z ojcem i zakończył słowami: — Niech wam Bóg dopomoże. —

W najbliższą niedzielę, a było to jeszcze w czasie wielkanocnym, przystąpił ojciec Franusia do Stołu Pańskiego. Na twarzy jego znać było ową stanowczość pokrywającą lica idących do boju żołnierzy. Ksiądz widocznie widokiem tym wzruszony, drżącą ręką podał mu Ciało Pana; wiedział on dobrze, że łaską Boską nawróciła zagubioną duszę.

Jakże cieszył się Franuś! Febra jednak pożerała go; codzień był słabszym. Ogarnęła go tęsknota, tęsknota za matką. Wiele dni jeszcze upłynęło, zanim się uspokoił.

Ojciec każdą wolną chwilę spędzał przy nim. Po całych dniach pracował, a ani szelęga nie przepił. Wszyscy dziwili się takiej zmianie, zaszedł w człowieka, oprócz chorego syna. Wiedział on dobrze, że musiało się tak stać.

Przeszły miesiące, i powróciła matka. Nieszczęsna przestraszyła się na widok syna. Był to tylko cień jego.

— O Franiu — zawołała podchodząc do niego.

Zobaczywszy jednak męża, przestraszyła się; patrząc na niego, śmiertelna trwoga malowała się w jej oczach; oczekiwała wybuchu gniewu, wyciągając więc doń ręce, milcząco błagała go o przebaczenie.

— Tereso nie bój się — rzekł mąż z dziwnym spokojem i łagodnością — ja to winienem temu wszystkiemu!

— Nie, ja'm winna — zawołała kobieta unosząc się od płaczu — nie powinnam była znieślić twe-go nazwiska, a raczej z głodu umrzeć niż... —

— Tereso, wiesz dobrze, jak mało troszczyłem się o nas. Gdybym był pieniądze przyniósł do domu, to nie byłabyś... —

— Przebacz mi!

— Nie, to ty Tereso, musisz mi przebaczyć!

Wkrótce nastał spokój i to trwały. Był już najwyższy czas, bo koniec Franusia zbliżał się.

Po kilku tygodniach, pokryła mogiła ziemską skorupę. Ponad nią złączyły się dwie pary rąk do lepszego życia, ojciec i matka.

Babka poszła wnet za wnukiem. Ich mogiły leżały jedna przy drugiej.

Zapewne i ona modliła się już o wieczny spoczynek, gdyż dożyła tej długo oczekiwanej chwili, która uszczęśliwiła wraz trzy dusze. Dozwolił jej Bóg dożyć dnia, w którym to dniu dziecko przystępuje poraz pierwszy do Stołu Pańskiego, i wyblagała u Boga powrót ojca i matki do nowego chrześcijańskiego życia, w białą niedzielę!

A co myśli sobie, o tem dobre natolickie dziecko?

Jeśli nie zaznało jeszcze tego szczęścia, to już naprzód powinno sobie powiedzieć: „Pragnę, w dniu pierwszej mej Komunii, być podobnym do Franusia i modlić się tak, jak on się modlił!

Jeśli zaś przyjęło ukochanego Zbawiciela do swego serca utajonego w Sakramencie Ołtarza, to niech postanowi sobie: „Przy każdej mojej Komunii będę myślał jak Franuś, i będę się starał tak przyjmować Zbawiciela, tak go błagać, jak on to robił przy pierwszej swojej Komunii“.

Drogie dzieci, przy końcu tej powiastki, wyciągajcie dla siebie korzyści z białej niedzieli. Czytaj i inne powiastki w tej myśli napisane, a Bóg ci pobłogosławi a Marja i Józef będą cię strzegli i ochraniali na wszystkich twoich drogach.

Dwaj lekarze.

Słusznie i dobrze mówią ludzie, że pokój jest najszlachetniejszym ze wszystkich dóbr ziemskich. On to bowiem i na tym i na tamtym świecie robi ludzi prawdziwie szczęśliwymi. Zwyczajnem jego mieszkaniem jest czyste sumienie, a największą z niego korzyścią jest wesołe życie tu na ziemi i miłość Boża. Młodość i zdrowie, siła i piękność, godności i szacunek ludzki, bogactwo i wszelkie rozkosze tego świata są bardzo znikome, to jest nie długo trwałą. Pokój zaś duszy, jeżeli sami umiemy go zachować, staje się naszym wiernym i niedostępnym towarzyszem, który nam, jak dobry, opiekuńczy anioł, osładza wszystkie gorycze i cierpienia tego życia, zachowuje nas od wszelkich burz na tej ziemi i nie opuszcza nas nawet za grobem. Kto zaś stracił tego anioła, ten niech jak najprędzej go odszuka, a znajdzie go z pewnością. Przekonamy się o tej prawdzie z następującego opowiadania.

Pewnego wieczora w roku 1830 do sławnego chirurga, nazwiskiem Dupuytren w Paryżu przyszedł jakiś spóźniony gość, wówczas właśnie, gdy ów doktor chciał już sobie trochę odpocząć po całodziennej pracy. Był to już niemłody człowiek, niski, szczupły, ale dość przyjemnej powierzchowności. Spokojna i wesoła jego twarz była tak miłą i pociągającą, że każdy czuł dla niego mimowolną sympatię. Ukłonił się on nisko i oczekiwał nieśmiało zapytania lekarza.

— Co panu jest, czego panu potrzeba? — zapytał szorstki z natury Dupuytren gniewnym i niecierpliwym głosem.

— Panie doktorze — odrzekł pacjent, — jestem proboszczem ze wsi N. w pobliżu Nemours. Przed dwoma laty dostałem wrzodu na szyi. Chirurg nasz myślał z początku, że to nic nie znaczy, ale mnie, niestety, coraz bardziej się pogarszało, aż wreszcie wrzód pękł sam przez się, ale mój stan przez to wcale się nie polepszył. Z początku długo leżałem w łóżku, ale później, chociaż z wielkim trudem mu-

siałem wstać, bo nie mam ani wikarego, ani żadnego pomocnika, a służba Boża w czterech wioskach... —

Zniecierpliwiony Dupuytren przerwał jego słowa, wołając:

— Proszę mi pokazać szyję!

Proboszcz zrobił to zaraz i ciągnął dalej:

— Chociaż moi parafjanie zeszliby się wszyscy chętnie w każdą niedzielę lub święto w jakimkolwiek kościele, ale oni biedacy pracują ciężko przez cały tydzień, więc przynajmniej w niedzielę powinni odpocząć. To niedobrze, powiedziałem sobie, że tylu ludzi dla ciebie jedynie nie ma odpoczynku. Poradzono mi, żebym z moją chorobą udał się do pana. Posłuchałem więc tej rady, chociaż mi to było trudnem, bo podróż dużo kosztuje, a ja mam wielu ubogich w mojej parafji. Jaki jest stan mojego zdrowia, to pan sam widzisz.

Rzeczywiście lekarz zbadał wrzód bardzo sumiennie. Był on tak niebezpieczny, iż doktor się zdziwił, że chory miał jeszcze tyle siły, żeby odbyć tak długą podróż.

— No, cóż pan na to powiesz? — zapytał proboszcz.

— Księżę proboszczu — odparł sucho Dupuytren po chwili milczenia — musisz z tego umrzeć.

Chory obwiązał sobie znowu szyję, nie odpowiadając wcale na słowa doktora i położywszy na stole pięć franków, rzekł:

— Przepraszam, że nie mogę panu zapłacić tyle, ileby się może należało doktorowi Dupuytren za jego trudy, ale nie jestem bogaty, wszystko zaś, co mam, oddaję moim ubogim, którzy tego bardzo potrzebują. Jestem rad, że pana zapytałem. Dałeś mi pan stanowczą odpowiedź i dzięki temu nie umrę nieprzygotowany. Jeżeli kto ma już zresztą sześćdziesiąt lat na karku, to nie długo żyć mu na świecie. Żegnaj pana, panie doktorze! Wracam do moich parafjan, by umrzeć pomiędzy nimi, bo znajdę tam serdeczne współczucie!

To rzekłszy proboszcz wyszedł z pokoju. Tymczasem Dupuytren stał zamyślony, bo słowa starca bardzo go wzruszyły. — Ten słaby i chory człowiek — myślał on sobie. — musi mieć jednak silną wolę, wielką odwagę i prawdziwie niebiański spokój. — Po chwili pobiegł za nim i zawołał ze schodów: — Księżę proboszczu, proszę jeszcze przyjść do mnie!

Proboszcz wrócił, doktor zaś, ujrawszy go znowu, rzekł:

— Może jeszcze można będzie ciebie ocalić, jeżeli się zgodzisz na operację.

— O mój Boże, co za pytanie! — zawołał proboszcz — wszak ja po to właśnie przyjechałem do Paryża! Rób pan sobie ze mną, co chcesz, bylebyś mię uleczył!

— Ale ta operacja będzie długa i bardzo bolesną — odezwał się doktor.

— To nic nie szkodzi, wytrzymam ją z pomocą Bożą — odpowiedział zadowolony proboszcz, — a moje poczywe dzieci przynajmniej się ucieszą.

Teraz więc Dupuytren polecił mu udać się zaraz do sali św. Agnieszki w szpitalu, w którym on sam był lekarzem, a Siostry Miłosierdzia opiekowały się chorymi. Jednocześnie napisał Dupuytren kilka słów na kartce, z którą proboszcz poszedł do szpitala i został tam przyjęty z większą, niż ktokolwiek

inny, dobrocią i troskliwością, tak, że nie umiał nawet za to dostatecznie podziękować.

Podług rozkazu lekarza biedny chory musiał tam wycpać przez dni parę, trzeciego zaś dnia zebrało się mnóstwo młodzieży, uczącej się medycyny i chirurgii, kiedy Dupuytren wszedł do sali. Zaczęła się operacja, która trwała przez dwadzieścia pięć minut i była bardzo bolesna, gdyż musiano wycinać zepsute kawałki ciała. Proboszcz jednak nie jęczał i nie wzdychał, tylko był bardzo blady. Dupuytren sam mu założył opatrunek i rzekł ze współczuciem:

— Wycierpiałeś bardzo wiele, księżo proboszczu, ale mam nadzieję, że już teraz będzie dobrze.

Proboszcz został ocalony. Każdego rana, wchodząc do sali chorych, Dupuytren wbrew swojemu zwyczajowi, zamiast zatrzymać się przy pierwszych łózkach, szedł najprzód do swego starego duchownego pacjenta, kiedy zaś tenże mógł już wstawać z łóżka, wówczas sam doktor brał go za rękę i przechadzał się z nim powoli po sali. Nikt nie umiał sobie wytłumaczyć tej uprzejmości Dupuytre'na, który zawsze dla swoich pacjentów był sorskim i surowym.

Wreszcie zupełnie uzdrowiony i uszczęśliwiony proboszcz odjechał do swojej parafii, aby tam z nowymi siłami zabrać się znowu do pięknej pracy, jako duszpasterz, ojciec i dobroczyńca. Po kilku miesiącach Dupuytren wchodząc pewnego poranku do sali św. Agnieszki, zobaczył tam znowu tego czcigodnego starca. Obuwie jego było kurzem pokryte, gdyż odbył on pieszo długą drogę do Paryża, na plecach zaś dźwigał ciężki koszyk. Żdźwiony, ale zarazem ucieszony doktor zbliżył się do niego, przekonał się, że operacja nie pociągnęła za sobą złych skutków i zapytał, po co tym razem przybył do Paryża.

— Panie doktorze — odrzekł proboszcz — dziś właśnie kończy się rok od dnia mojej operacji. Chciałem więc koniecznie w dniu dzisiejszym, to jest dnia 6 maja pana odwiedzić! Jako zaś mały dowód mojej wdzięczności przynoszę panu parę kur z mego kurnika i trochę gruszek z własnego ogrodu, takich dobrych i smacznych, jakich w Paryżu pewnie nie ma. Musisz mi pan przyrzec, że ich skosztujesz, nieprawdaż?

Dupuytren przyrzekł to i uściskawszy go przyjaźnie za rękę, zaprosił do siebie na obiad. Proboszcz jednak chociaż z żalem, odmówił, ponieważ musiał jak najprędzej wracać do swojej wioski.

Dwa razy jeszcze dnia 6 maja widział Dupuytren wesołego proboszcza w sali św. Agnieszki, naturalnie z kurami i gruszkami. Za każdym też razem odwiedzin zacnego kapłana bardzo go ucieszyły i wzruszały. Wkrótce jednak sam Dupuytren zaczął chorować, pojechał więc do Włoch, ale w roku 1834 wrócił stamtąd bez polepszenia i czuł, że już śmierć jego się zbliża. Pewnego więc dnia zawołał do siebie swego przybranego syna i podyktował mu następujący list: „Do Księdza Proboszcza we wsi N. koło Nemours, w departamencie Somme.

Mój drogi przyjacielu!

Lekarz potrzebuje proboszcza. Przyjeźdź jak najprędzej. Dupuytren.

Proboszcz przybył rzeczywiście i zamknął się na kilka godzin z doktorem w jego pokoju. Kiedy stamtąd wyszedł, w oczach jego błyszczały łzy, na twarzy zaś widać było cichy, ale rzewny smutek.

Nazajutrz rano Dupuytren kazał prosić do siebie ks. arcybiskupa. Było to dnia 8 lutego 1835 roku i w kilka godzin później chory pożegnał się z tym światem.

Kiedy studenci ponieśli trumnę jego na cmentarz, wówczas do ogromnego pogrzebowego orszaku przyłączył się także stary, zapłakany kapłan.

Ze świata religijnego.

Wpływy katolicyzmu w Kanadzie.

Znaczenie i wpływy Kościoła w Kanadzie są bardzo wielkie. Cała ludność pochodzenia francuskiego (potomkowie dawnych osadników francuskich), wyznaje religię katolicką. Centrum katolicyzmu w Kanadzie jest Quebec City, z której promieniają wpływy Kościoła na całą prowincję tejszą nazwy, licząca ogółem 2 237 736 katolików (prawie czwartą część ludności całej Kanady). To też słusznie pisze gazeta „Financial Post“, że chcąc wejść w grupy finansowe i handlowe francuskiej Kanady należy się jednocześnie zapoznać z religią katolicką, bowiem odgrywa ona rolę nawet w sferach gospodarczych.

Wspaniały Kongres Eucharystyczny w Chorwacji.

W ubiegłych dniach 13, 14 i 15 sierpnia w starożytnym chorwackim Sisaku, mieście św. Kwiryna i Ludwika Pasawskiego, pogromcy Turków, odbyły się przepiękne uroczystości narodowego Kongresu Eucharystycznego. Przebieg Kongresu — jak donoszą z Zagrzebia — przeszedł wszelkie oczekiwania, przez co uroczystości te stały się potężną i wspomniałą manifestacją uczuć katolickich narodu chorwackiego i wielkim triumfem Chrystusa-Króla, utajonego w św. Eucharystji. Kongres odbył się pod protektoratem i osobistym kierownictwem metropolity chorwackiego, arcybiskupa Zagrzebia, ks. dr. Antoniego Bauera. Na program jego złożyły się liczne referaty, wygłoszone przez wybitnych działaczy katolickich Jugosławii, nabożeństwa, koncerty religijne, uroczysta akademja i olbrzymia procesja eucharystyczna po ulicach miasta, w której wzięło udział zgórą 20 000 wiernych.

200 000 chorych ofiarowuje swoje modlitwy za Ojca świętego.

We Włoszech przeszło 200 000 chorych z najróżniejszych szpitali wybrało jeden dzień, podczas którego modlić się będą specjalnie za Ojca św. Jednocześnie we Francji przeszło 30 000 chorych ofiarowało swoje modlitwy z tego samego dnia na intencję Papieża.

Stuletni jubileusz OO. Redemptorystów w Ameryce

W roku bieżącym upływa 100 lat od przybycia do Stanów Zjednoczonych zakonu OO. Redemptorystów. 20 czerwca 1832 roku przybyło do Cincinnati z Wiednia trzech ojców i trzech braci Redemptorystów, którzy poczęli nauczać początkowo w trzech językach: angielskim, francuskim i niemieckim, potem zaś w miejscowych narzeczeniach. W 1850 roku powstała w Ameryce filja tego zakonu a w 1913 r. został założony w Brooklynie dom macierzysty, z którego obecnie rozciąga się działalność zakonu na inne kraje jak Kanada, Brazylja oraz wyspy Antylskie.